DZIENNIK

Mód Paryskich.

LWÓW 1 PAŹDZIERNIKA 1841. Ner. 19. ROK DRUGI.

Wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca, do każdego numeru dołączone są dwie ryciny. Prenumerata wynosi we Lwowie półrocznie 5 złr. 15 kr., rocznie 10 złr.; bez rycin półrocznie 2 złr. 30 kr., rocznie 5 złr. Dla tych którzy pocztą ten dziennik odbierają dolicza się do powyższych cen za przesyłkę pocztową od jednego exemplarza półrocznie 48 kr., rocznie 1 złr 36 kr. srebr. Prenumerować można w kantorze Tomasza Kulczyckiego pod liczbą 301 w mieście, tudzież w krajowych i zagranicznych urzędach pocztowych.

MODY.

Stroje damskie. Sznurówki które stanowiły bardzo drobną i małoznaczącą cząstkę ubrania, stały się od czasu wynalazku *Poussa* artykułem nieodbicie potrzebnym. Świat modny oddał zupełną słuszność wynalazcy tych sznurówek, które się nietylko do piękności ale też do utrzymania zdrowia przyczyniają. W pierwszym względzie wyznać można bez przysady że połowa pań którym świat modny hołduje, wina jest większą część zwycięstw sznurówkom *Poussa.* Drugim zawołanym artykułem w tej chwili są krynolinowe spodnice Oudinota, bo też nikt nad niego nieumie się obejść z krynoliną. Aby ocenić wyższość takiej spodnicy nad wszelkie inne, trzeba podróżować cały dzień w towarzystwie, gdzie jest niejaki przymus ze stron obojga, tu się dopiero okaże, jak taka spodnica zwycięzko wychodzi ze wszelkiego ścisku, niepodpadając najmniejszemu zmarszczeniu lub zmięciu.

W sali komedioopery celowały następujące stroje. Suknia z mory niebieskiej ozdobiona falbaną z korunek angielskich i fontaziami z wstążek wysokości tejże. Stanik mocno wygorsowany, z kończastem wycięciem, ozdobiony potrójną obwódką z angielskich korunek; rękawki krótkie z fałdzikami. Dwie inne suknie były z indijskiego muszlinu z haftowaniami; jedna z nich ozdobiona wysoko haftowaną falbaną nad którą bogaty haft się znajdował, stanik jej dość wycięty, u wierzchu haftowana peleryna, angielskiemi korunkami ozdobiona, rękawy krótkie również haftowane i zdobne korunkami; druga była w fałdy ozdobione korunkami i rozdzielone haftowaniem.

Co do ubiorów głowy wymienić tu możemy kapelusz z muszlinu haftowanego, podszyty różową kitajką, z korunkową półzasłonką, a u wierzchu półtwieńcem różowym ozdobiony. Wreszcie na wsi bardzo jest stosowne ubranie głowy we wstążki lub siatki. Ozdoby z kwiatów zapewne będą rozmaitsze i więcej używane tej zimy, niż dawniej.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię grodenaplową w drobne paski, stanik ukośnie krajany, kieszenie i pelerynka sznurkiem obszyta, kapelusz jedwabny z piórami. Druga suknia z fularu gładkiego z stanikiem marszczonym z tarlatany. Szal z gockiego grodenaplu fręzlami obszyty. Szlafroczek z grodenaplu mieniącego, ubranie z tej samej materii fręzlami obszyte; kapotka jedwabna z ubraniem kwiatów.

Stroje męskie. Do modnych strojów należy surdut zapinany na dwie strony z wyłożonemi klapami, przedstawiony na rycinie. Frak do spaceru o dwoch rzędach guzików. Kamizelka otwarta bez kołnierza.

WYCIECZKA DO BERCHTESGADEN.

Ciąg dalszy.

Nie wiele czasu potrzebowałem do tej stereotypowej uczty, uczepiwszy się poczciwego myśliwca, poszedłem przejrzeć tak zwany po dawnemu zamek xiążęcy. Jestto

dom, w smaku zeszłego wieku (1720) zbudowany, o którego teraźniejszej wytworności dosyć będzie nadmienić, że w nim obecnie rodzina szynkarza i nasz myśliwiec mieszka. Ciekawszy wszakże przedsionek. Zdobi go kilkanaście portretów, nie prałatów lub bohatyrów dawnych, ale ryb które się w życiu swojem wielkością odznaczyły. Każda ryba ma swój nagrobek, swój nekrolog, a w nim lapidarnym stylem wypisane jej znaczenie za życia, czyli jej wielkość i waga, dzień śmierci i przez kogo życia pozbawioną została. Najzaciętszym ich nieprzyjacielem był Krysztof Duxner, który przed stu laty pierwszym rybakiem tego jeziora słynął. Te odwizerunkowane łososie (*Lachsferche*), po kilkadziesiąt nawet funtów ważące *), sąto po największej części jego trofea. Przeszedł równie do nieśmiertelności niedźwiedź i jego walka na jeziorze z fiszmajstrem i jego czeladzią. Poezia i malarstwo przeniosły równym smakiem ten wypadek do potomności. Chłop Grzegorz Khren opisał tę walkę żartobliwym rymem. Zachciało się niedźwiedziowi zwidzić lasy przeciwległego brzegu, i obrał najkrótszą drogę przez jezioro. Zsunął się z Watzmana i wpław się puścił. Spostrzega to Urban Fürstmüller, fischmajster, i puszcza się za nim w łodzi z trzema parobkami, w siekierę, dzidy i strzelbę uzbrojonymi, toczy z niedźwiedziem straszliwą walkę, jest w niebezpieczeństwie życia, i nareszcie go zabija. Tę bitwę z niedźwiedziem kazał właśnie król Ludwik na nowo malować, może *Cornelius* poda rysunek do tego obrazu, a *Hess*, sławny malarz bitew, może go wykona. Nakoniec wylicza poeta myśliwskie dzieła tego Urbana Fürstmüllera, jak Heziod prace Herkulesa. Zabił on tu w ciągu życia swego 25 niedźwiedzi, bił po 6 dzikich kóz w jednej godzinie, z dwoma synami ubił 74 sępów (*Gemsgeyer*), ale tylko 10 lisów, 3 rybołowce, i jedną gęś, co wraz może służyć za zoologiczny obraz tych okolic, jakiemi były przed stu przeszło laty.

Lubo niemam szczęścia należeć do cechu szlachetnego rzemiosła myśliwych, jednak niemało zajęło mię widowisko, które mi sprawił ów dychawiczny strzelec. Przyniósł perspektywę, oparł o konar drzewa i powodząc nią po różnych bokach Watzmana, w jednym nareszcie ustanowił kierunku. Naliczyłem 28 sarn i jeleni w przeciągu może jednej minuty, przechadzających się to po śniegu, to po murawie; ale długo macał swoim teleskopem po skałach, zanim jednę dzikę kozę dostrzegł i tę mi za osobliwość wskazał. Trzeba było widzieć oko, twarz i cały ruch myśliwca, kiedy o dzikiej kozie mówił: stary, dychawiczny, a jeszczeby poszedł.

Owa oaza śród Watzmana, gdzieśmy sarny liczyli, jestto część tak zwanego źwierzyńca, nad którym nasz stary strzelec ma sobie o łaskawym chlebie dozór powierzony. Miejsca *Watzmanlabl* i *Wimbach* są ulobionem schronieniem tych płochliwych źwierząt, gdzie latem, śród skalistych boków góry, spokojnie ziółkami alpejskiemi się żywią i w śniegach chłodzą. Przed 200 a nawet przed 100 laty nietrzeba było uzbrajać oko do widowisk podobnych. Góry były dziedziną dzikich kóz, niedźwiedzi, rysiów, wilków i rzadkiego ptactwa, doliny pełne sarn i jeleni, a ponad skałami czyhały na zdobycz drapieżne sępy i orły. Teraz ci rabusie leśni i napowietrzni korsarze rzadkiem są zjawiskiem. Wówczasto, kiedy te bory i knieje nosiły jeszcze piętno pierwotnego stanu, a każdy mnich berchtesgadeński był Nimrodem: musiały te góry i skały bywać teatrem łowów, o jakich wyobraźność myśliwska, aczkolwiek bujnością słynna, ani we śnie niemarzy. Jeden szczególniej rodzaj tych łowów, który osobliwością swoją przenosi nawet spławianie drzewa królewskim potokiem, musiał przedstawiać sceny i grozy pełne i nigdzie niewidzianych piękności. Byłoto strzelanie jeleni w lot i po wodzie. Widownia takich łowów bywała drugim nadwornym teatrem uxiążęconego opata, w którym myśliwi w sutannach oddawali cześć Diannie. Wstąpmy na chwilę do tego teatru.

Zasłona się podnosi: teatr przedstawia jezioro i skaliste ściany brzegów, pod niebo się wznoszące. Słychać odgłos rogów rozlegający się po górach. Widzowie i aktorowie razem, gęstemi szeregami obsaczyli scenę i kołyszą się na łodziach pełni oczekiwania. Działanie się poczyna. Obławą spędzają łowcy sarny i jelenie ku najspadzistszemu brzegowi, półkole coraz jaśniejsze, coraz gęstszy szyk myśliwców;

*) Teraz już o takie trudno, trzeba ich kilka na funt. Te, które mnie zastawiono, jestto rodzaj pstrągów (*Salblinge*, *Salmo*, *Salvelinus*).

naraz puszczają ogary, ich jęk i trąb wycie niesie popłoch w czworonożną gromadę: nigdzie ratunku, dokoła wrogi, nigdzie ucieczki, jedna tylko śmiałość zbawić może. Stary jeleń toruje sobie drogę rozłożystemi rogami, pierzchają przed nim łowcy; młodszy niema ni odwagi ni doświadczenia tyle, w rospaczy szuka ratunku: ze szczytu skał rzuca się w jezioro; jego przykładem idzie reszta: wiszą długo w powietrzu, zanim jeziora dolecą; 400 sążni przedziału; ogar zajadły rzuca się za niemi, niejednego rogacza jeszcze w powietrzu kilka kul dosięgnie, już nieżyje zanim dopadł wody, reszta płynie w różne kierunki, za niemi rozpędzają się łódki, strzał po strzale pada, jedno dobywają ranione, drugie tonie w jeziorze na pastwę jego mieszkańcom, inne żywcem w niewolę biorą, krzyk, wrzawa, zamieszka, rzekłbyś, że to bitwa morska. Widzowie sypią oklaski. *Moreau* po zdobyciu Salcburga (1800) w tych okolicach przebywający, był podobno ostatnim, dla którego te, tyle okrutne ile osobliwe, wyprawiano łowy.

Jeżelim niezbyt pochwalnie i tak mało spomniał o zamku, który niczem innem niejest, tylko skromnym myśliwskim domem; słuszna, abym tem większą sprawiedliwość oddał jego położeniu. Dolinka, śród której leży, odłączona jest od świata czarnem głębokością swoją jeziorem i ogromnemi górami, jak Watzman, Burgstal i Stulwand. Jakże mile przerywa ona tę stromość gór, te wieczne widoki skał i borów dokoła! Ktoż powie, ile upłynęło wieków, nim to wdzięczne miejsce wyszło z łona jeziora? Tylko zgrzybiały Watzman, który materiałów dostarczał, i te dzikie potoki, które z jego boków z gwałtownością padały, prawdziwi ojcowie doliny, mogłyby opowiedzieć dzieje jej powstania. Niemasz wątpliwości, że ta dolina, równie jak półwysep Wallnera, jest utworem potoków, które w pędzie swoim naznosiły skał, drzew i rumowiska, i osadziły u brzegu jeziora. Potoki wymyły sobie inne koryta, a dolinę następne wieki przyoblekły murawą, która teraz w kształcie półkola, upiękniona jasionem i bukiem, wysunęła się w jezioro i zdala wdziękiem swoim wabi wędrowca do tego czarownego ustronia. Na tejto dolinie leży ów zamek myśliwski i kościołek ś. Bartłomieja, prawie nad samym brzegiem jeziora, a widoki z okien zamkowych są tak czarujące, że w niejednym wędrowcu obudzą westchnienie: o dla czegoż tu wiecznie pozostać niemogę!

Nie każdy może podróżnik, zwidzający jezioro berchtesgadeńskie, zwidzi wszystkie jego piękności; ale żaden nieopuszcza tej doliny. Niechże i nieopuszcza zwiedzenia osobliwości, do której droga z tej doliny prowadzi. Widowisko, które w Szwajcarii okupować trzeba niebezpieczeństwem życia, nakładem sił, czasu i pieniędzy, tu z zupełnem niebezpieczeństwem, małym trudem, żadnym kosztem, i tylko poświęceniem dwoch godzin czasu, możesz mieć przed sobą. Tem widowiskiem jest tu *die Eiskapelle*, jedyny w swoim rodzaju l o d o w i e c (*Gletscher*). I ja omal że się niepozbawiłem jego widoku. Biorąc miarę z trudów i niebezpieczeństw, jakich doznałem w przebyciu góry ś. Gotarda, wyobrażałem sobie, iż zwidzenie lodowca, jakkolwiek niebędzie to ani Montblanc, ani Glokner, zawsze jednak połączone być musi z trudem przechodzącym moje siły, po ciężkiej chorobie jeszcze nieodzyskane. Z tego mylnego mniemania co do berchtesgadeńskiego lodowca, wywiedli mnie malarze. Właśnie, gdym od kościołka ś. Bartłomieja powracał, oni z tekami na plecach i z długiemi, ostrokutemi kosturami w ręku, spiesznym krokiem ku jaworowemu lasowi zmierzali. *Wollen Sie nicht mit, zur Eiskapelle?* obydwa jakby jednym zapytali głosem. I tu dopiero dowiedziałem się, że zwidzenie tego lodowca nie jest bynajmniej połączone z temi trudnościami, jakie zwykle sobie wyobrażność przy podobnych przedsięwzięciach maluje. Dałem się więc namówić, ażeby zaś nienadużywać grzeczności, tych synów Apollina, z którą się w podaniu mi wszelkiej pomocy oświadczyli, wziąłem sobie z zamku tęgiego parobka i uzbroiłem się w zwykły alpejski kostur.

Przez piękny jaworowy lasek prowadzi drożyna ku ścianie Watzmana, u której przyjmuje nabożnego wędrowca stara gotycka kapliczka ś. Janowi i Pawłowi poświęcona. U podnóża kapliczki tryska zdrój alpejski. Lubo jeszczę nieztrudzeni, posiadaliśmy około źródła, aby się przedziwną jego wodą pokrzepić i podumać nad religijnym duchem owych czasów, w których na tej puszczy, zanim jeszcze Eberwin ze swoimi braciszkąmi węgielny kamień na optacwo berchtesgadeńskie położył, pobożni myśliwcy pierwszy kościołek tej krainy

zbudowali. Minąwszy kapliczkę i wzgórze zwaliskami skał założone, naraz i nim się spodziejesz, widzisz się zamknięty między skały, których kotlinę najbujniejsza wyobrażność groźniej i straszliwiej nie zdoła sobie przedstawić. Pionowe ściany, których szczyty i rozpadliny odwieczny śnieg zalega, piętrzą się na 6 i 8 tysięcy stóp w górę, i zda się, że niebios dosięgły, pomiędzy nie wązkiem pasmem zagląda niebieskie światło, rzekłbyś, że duchy tych gór błękitną wstęgą zasklepiły mieszkanie swoje. Dno tej kotliny pierwsze, ale niemałe stawia podróżnemu zawady. Ułamy skał zawaliły jego przestrzeń. Trzeba się piąć po nich i spuszczać znowu, to pomiędzy nie, to w rowy i wyboje, siłą lawiny lub ulewy w ziemi wyryte. Tu jeszcze ujrzysz gdzieniegdzie karłowatego buka, jawora lub jodłę, ale zaledwie pomiędzy łyse szczyty i gołe boki olbrzymiej Hachelwand wstąpisz, wszelkie roślinne życie ustaje. Te pionowe skały, jak piramidy, jak wieże, pnące się jedna na drugie do wysokości tysiąca sążni, te warstwy Watzmana tak śmiało piętrzące się na podwalinach wieczystych, zda ci się, że lada chwila runą. Grobowa cisza ogarnęła cię pośród zwalisk świata. Do trudności pochodu łączy się już obawa, ażali szczyt której piramidy, warstwa której ściany, nierunie i niezagrzebie cię pod sobą. Jednak musisz wypocząć. Gdziekolwiek spojrzysz, niewidzisz tylko masy wapiennych skał, jakby na przekorę owym uczonym mineralogom, którzy tylko granitowe góry pierwotnemi i wysokiemi być mienią. Ach tak! łatwiej zaiste z wniosków i rachub, w ciepłym pokoju i wygodnem krześle wymarzonych, budować systemy prawideł i według nich światy składać, niż dociekać sił i działań odwiecznych tajemniczej w swojej pracowni natury! wiecznie będziemy marzyć, wiecznie nasze rozumy natężać i wiecznie w dumę się podnosić, czegoto ten duch nasz nieśmiertelny nieodkrył, niezbadał; a zagadka świata niemniej przeto wiecznie zostanie zagadką.

d. n.

Z FAUSTA, TRAGEDII GETEGO.

FAUST

sam, po rozejściu się z Wagnerem.

Jakież nadzieje ma mózgowiec taki?
Grześć w szpargałach jego praca,
Chciwie za skarbami maca,
A rad, gdy znajdzie robaki!
Śmieżże się ozwać nikczemno
Tu, gdzie rozmawiał duch zemną?
Lecz ach, dzięki ci w tym razie
Najnędzniejszy ziemiopłazie!
Przy tobie rospacz odparłem
Co targała moje zmysły,
Ach, tak olbrzymie zjawiska mi błysły,
Że w całej duszy poczułem się karłem.

Ja, obraz bóstwa, co w marzeniu śmiałem
Już przy zwierciedle wiecznej prawdy stałem,
Już z siebiem wkoło ronił blask najżywszy,
Wszystko, co ziemskie, rzuciwszy;
Więcej jak cherub, wolna moja siła
W całej przyrodzie krążyła,
Tworzyłem wolnych stworzeń miliony
Jak bóg — o jakżem głęboko ztrącony
Piorunnym słowa postrzałem!..

Nie! mnie się z tobą nie mierzyć,
Ja cię przyciągnąć zdołałem,
Alem niezdołał udzierzyć.
W owem pojawieniu błogiem
Czułem się płazem i bogiem,
A tyś potrącił mię srodze
W świat, gdzie niepewność mię głodze.
Ktoż mię nauczy, kto ostrzeże w błędzie,
Gwałt ten zkiełznam czy rospaszę?
Ach! równie czyny, jak cierpienia nasze
Bieg życia tamują w pędzie!

Do zalet, jakich dusza ludzka zdolna,
Razwraz przyrostek obcy pada zwolna:
Skoro światowa dobroć naszym działem,
Lepszość zowiemy obłudą i szałem;
Te, co w nas życie tchnęły, boskie czucia
W światowym wirze krzepną śród zepsucia.

Kiedy się niegdy wyobraźnia śmiała
Z ufnością aż do bóstwa rozszerzała,
O, jakże w ciasnym zamyka się kresie,
Skoro nas przygód bystry prąd uniesie!
Zaraz się troska w sercu naszem mieści
I rodzi tajną boleść po boleści,
I pokój zburzy i wesołość zaćmi
Pod tysiącznemi kryjąc się postaćmi:
Czy ją zwiem żoną, dzieckiem, domem, dworem,
Ogniem, powodzią, sztyletem czy morem,
Choć nas niedotknie, drzymy w każdej chwili
I opłakujem, cośmy nie stracili.

Bogom niesprostam! mówi mi głąb serca:
Jestem robakiem, co prochy przewierca,
I kiedy żyru spatruje dla siebie,
Noga przychodnia dusi go i grzebie.

Nie prochże oto ścieśnia moje ściany
Po szafach setną policą przetkany?
Tandeciarz! w świat swój muli i pajęczy!
Jał mię, i swemi łachmanami dręczy.
Czyliż w nim znajdę to, na czem mi zbywa?
Mamże w tysiącznej wyczytywać xiędze
Że wszędy ludzie skazani na nędzę,
A gdzieś tam para znajdzie się szczęśliwa?
Czego się do mnie szczerzysz trupia czaszko?
Jakby się tobie jak mnie mózg przewracał,
Żem mniemał w prawdy dzień zdążyć igraszką,
A w pociem czoła po ciemności macał?
Urąga ze mnie wasz przybór misterny
Narzędzia, wyście klucze, jam odźwierny,

Mimo te kółka, walce i kiędziory
W brodzie, podwojów nieprysły zapory.

Na dniu białym, nadzwyczajnie
Skrytej przyrody niebłysną nam tajnie,
I czego głębią ducha nienabędziem,
Tego jej żadnem nie wydrzem narzędziem.

Wy bez użytku leżące tu graty!
Mam was, bo ojce miały was przed laty,
Ty stary toczku, od mroku do świtu
Kopci cię smętna lampa u pulpitu!
Miałżem się pocić sprzętami ściśnięty,
Lepiej mi było roztrwonić te sprzęty,
Lepsze są własną nabywane pracą,
Niż kiedy niemi przodki nas bogacą;
Bezużyteczny ciąży nam nabytek,
Co się dziś tworzy, dziś idzie w pożytek.

Lecz czemu wzrok mój przylgnął tam tak miło,
Czy ta flaszeczka magnesem dla oka?
Czemu się w duszy mojej rozjaśniło
Jak gdy w bór xiężyc zaglądnie z wysoka?
Luba flaszeczko witaj mi w tę porę!
Ze skruchą serca do rąk cię mych biorę,
W tobie czczę sztukę i dowcip wysoki,
Ty snem darzące, błogie mieścisz soki,
Wszech jadów wytrysk moc twoję stanowi,
O, wyświadcz łaskę swojemu mistrzowi!
Oto cię widzę, i ból się mój zmniejsza;
Biorę cię, moja troska łagodniejsza,
Nawalność ducha kładzie się, z wybrzeży
W przestrzenne morze lotny korab bieży,
I w wód zwierciadła poglądam z korabia,
Do nowych światów nowy dzień mię zwabia.

Ognisty, lekko się toczy
Wóz ku mnie; jestem gotowy
Pośród eteru przeźroczy
W nowy świat konać bieg nowy.
Wzniosłe tam życie, boska woń bez końca;
Czyż ono tobie robaku przystało?
Nuże dalej! odwróć śmiało
Twarz swą od ziemskiego słońca!
Wyłam drzwi, u których progu
Z drzeniem czołgają się gminy,
Okaż dowodnemi czyny
Że mąż w godności nieustąpi bogu.
Otrząś się z próżnej przed piekłem bojaźni,
Płódło dręczący twojej wyobraźni,
Nogą pewną przekrocz wisze
Z pod których piekło płomieniami dysze,
Puszczaj się w drogę z wesołem obliczem,
A jeśli nicość spotkasz, odważ się być niczem.

Samtu ze starej pokrowy
Mój puharze krzyształowy!
Lata mijają jak cię w ręku miałem;
Ty w gronie ojców jaśniałeś wspaniałem,
A twarz sierdzista brała po twej wolej
Rzeźwą wesołość, skoro biegłeś w kolej.
Rzeski godownik składnemi wyzazy
Czcił twe misternie rzezane obrazy,
A potym duszkiem wychylał cię do dna;
Pomnę cię, pomnę młodości swobodna!
Teraz w sąsiednie nie podam cię ręce,
Ani twych ozdób dowcipem uświęcę,
Oto jest napój, prędko on upoi,
Już płyn brunatny rozlał w głębi twojej;
Jam go przyrządził, wybrał, z serca trącę
Ostatni toast, niech brzmi w świata końce:
Cześć ci powstające słońce!

(przykłada puchar do ust; słychać dzwony śpiewy choru.)

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus z martwych wstał!
Raduj się śmiertelny,
Otoć, przez skon dzielny,
Jął z mocy piekielnej,
Nieśmiertelność dał!

F A U S T.

Cożto za głosy? coza władza tonu
Od ust mych puhar porywa wszechmocno?
Czy ten poważny dźwięk dzwonu
Zwiastuje wzniosłą chwilę wielkanocną?
Wyżto o chóry brzmicie himn wesoły,
Którym przy grobie głosiły anioły
Pewność nowego zakonu?

CHÓR NIEWIAST.

Myśmy cię same
Zmaściły wońmi,
Własnemi dłońmi
Złożyły w jamę,
Miękuchne, czyste
Dały przykrycie,
Ach, a o świcie
Niema cię Chryste!

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus z martwych wstał!
Radujcie się mili
Coście w nieszczęść chwili
Cierpieli, wierzyli
W zmartwychwstanie ciał!

F A U S T.

Poco się w moje cieśniecie ukrycie
Niebieskie pienia, silne dzwonów gwary?
Czemuż do ludzi wiernych nie bieżycie?
Ja, choć poselstwo słyszę, niemam wiary,
A cud jest wiary najpieszczeńsze dziecię.
Nieśmiem się wzbijać ku owej dziedzinie
Zkąd mi ta błoga wieść płynie,
Przecież mi dźwięk ten miły był z powicia,
I dziś mię wabi do życia.
Niegdy w wielką sobotę na usta młokosa
Ognisty całus składały niebiosa,
Wtedy bywało dzwony zbawienie mi głoszą,
A modły najgorętszą były mi roskoszą;
Jakieś mię uczucie wrzące
Gnało po lesie, po łące,
I śród gorących łez zdroja
Świat wydawała pierś moja.
Himn ten młodości zabawy radośne
I nadchodzącą zwiastował mi wiosnę,
A moc tych wspomnień uroku
Od ostatniego wstrzymuje mię kroku,
O brzmij mi wiecznie dźwięki anielskiemi,
Słodka łza płynie, jam wrócony ziemi!

CHÓR UCZNIÓW.

Grób go skrył nocą,
Głazy przywarły,
Pękł głaz, z wszechmocą
Powstał umarły.
Już go spromienia
Blask wiecznej chwały,
A nam zostały
Troski, cierpienia;
Żal nas zjął niemy,
Łzy płyną zdrojem,
Mistrzu! nad twojem
Szczęściem płaczemy.

CHÓR ANIOŁÓW.

Chrystus z martwych wstał!
W okowach legł Satan,
Człek z bogiem pobrątan,
Wieczność jego dział.
Gorąco i czyście
Miłujący w Chryście,
Męczeńcy, pielgrzymi
Cierpiący z biednymi,
Wierzący z wiernymi,
Was wiara nie mami:
Mistrz z wami, bóg z wami!

A. Bielowski.

WYJĄTKI
Z SZLACHTOGRAFII
J. I. KRASZEWSKIEGO.

§. 3.

CHORY NA PANA.

Głos powszechny zowie chorującym na pana tego, który pana udaje; jestto bardzo trafna determinacia, bo za chorobę umysłową słusznie taką manię uważać można. U nas, chorych na pana jest wielkie mnóstwo i w różnych rodzajach; do tej kategorii policzym półpanków, chorych na pana, i czepiających się panów. Wszyscy miłują państwo, radziby się wydzielić z tłumu, a wrosnąć w arystokracię, brzydzą się swojem prostem szlachetctwem, pałają żądzą zbogacenia się, któreby ich, szlachtę, wzniosło od razu na tron państwa, ale każdy z nich w odmiennem troche zostaje położeniu. Możeby jeszcze czwarty tu podgatunek dodać należało: tych, którzy jedynie miłując się w wytwornem wychowaniu i obyczajach klasy wyższej, przystają do niej za satelitów.

Zaiste wszystkich tych położenie względem istotnych panów, jest przykre. Traktowani z góry, zmuszeni nieraz upokorzeniem okupywać swoje z nimi stosunki, ciągle zważać usilnie na siebie, drzeć i płaszczyć się powinni. Cóż czyni, że łatwiejsze, przyjemniejsze może towarzystwo opuszczając, cisną się między panów. Co? Oto pragną, aby tłum ich widział z panami, aby wiedzieli wszyscy, że oni z nimi poufale żyją, są ich przyjaciołmi. Na chwilę wyszedłszy z owego koła między prostą szlachtę, zagłuszają w każdej rozmowie wspominaniem nieustannem hrabiego N* xięcia N* i mnóstwo takich nawet, których ledwie z daleka widzieli.

A najprzód odmalujmy półpanków. Półpanek ma dwie lub trzy wioski, sąsiedztwo, czasem dalekie pokrewieństwo jakie związało go z którym domem markgrabiów. Półpanek ztąd uroił sobie, że należy do panów, jest im równy, powinien żyć jak oni i we wszystkiem ich naśladować. Niepatrząc więc stanu swego, majątku i interesów, mebluje dom kosztownie, kupuje konie, powozy, sprawia liberię, maluje herb swój wszędzie (dodając dla kształtu dziewięćperłową koronę, która dziś zdaje się być w modzie, bo jej niemal wszyscy używają), wyciąga szyję, mruży oczy, nadyma się i jest w swojem przekonaniu przynajmniej panem. Nie żyje już potym z nikim, tylko z panami. Źle go, czy dobrze przyjmują, narzuca im się ze swemi odwidzinami, zasiada poufale, bawi nieproszony, wtrąca się do wszystkiego i wszędzie. Ton jego jest aż do przysady przyjacielski, serdeczny: xiążąt, hrabiów, inaczej nienazywa, tylko po imieniu; daje im rady, wypala ich cygara, spija ich wina, zjada obiady i krytykuje niemiłosiernie kuchnię i piwnicę. U siebie w domu nasz półpanek, przekonany że, jako wielki pan, powinien żyć dobrze, najgorliwiej się stara o jaknajlepszego kucharza, o jaknajdoskonalsze wina. Uszczęśliwiony, gdy u niego panowie bywają, przyjmuje ich wystawnie, aż do śmieszności, i tak rujnuje się, niezastanawiając się nadtem. Nigdy półpanek nie będzie mówił o swoich interesach, nigdy nieposkarzy ci się na niedostatek; czasem tylko pozwoli sobie (bo zwyczaj powszechny go usprawiedliwia) narzekać na plenipotentów i komisarzy. Mina jego maluje go zawsze, i rzekłbyś że pęknie. tak jest pełen aż po brzegi samego siebie i ważności swojej. Ubior dobrym smakiem, nie wytwornością się odznacza, najczęściej niewypuszcza z rąk grubej lub cienkiej laski z sążnistemi kutasami. Niepodobna półpankowi, mimo najusilniejszych starań, zerwać wszystkich stosunków ze szlachtą, bo też żyje z nią, ale jeśli o-

bejście się panów prawdziwych, bywa niekiedy hiezbyt grzeczne, to półpanków jest zawsze prawie nieznośne. Względem szlachty są wiecznie jakby protegującymi, wiecznie okazują znudzonych i nie w swojej zostających sferze; nie dość, że poufali, ale obrażającym sposobem być nimi umieją. Uwalniają się od wszelkiej grzeczności, delikatności, uwagi na nich. Przytem lubią się oni chwalić wytworem swego domu, lubią pokazywać ogród (żaden półpanek niemoże się obejść bez ogrodu), lubią wystawiać srebra, porcelanę, obrazy nawet. Wszystko co widzieli u panów, starają się mieć u siebie, choćby się na tem nieznali, choćby tego nielubili. Dla tego tylko, że tak bywa u panów. Niejeden półpanek dla tego, że widział u xięcia L* doktora nadwornego i sekretarza, trzyma sekretarza i doktora, choć nic nie pisze i nigdy nie choruje. Biedni męczennicy śmiesznej próżności, wyśmiani i od tych, do których chcą należyć i od tych, do których należyć niechcą.

Inny cokolwiek jest ten, co go zowią, c h o r y m n a p a n a. Ten częstokroć mniej jeszcze od poprzedzającego usprawiedliwia majątkiem pretensie, bo czasem i wioski niema. Choroba u niego niejest tak ciągła, ustaje czasem dla braku pieniędzy, gdyż chory na pana, całą esencią państwa rozumie z ł o t o, całą tajemnicą wystawę i przepych. Gdy półpanek zachwycił nieco wychowania lepszego i nie mniej zasadza państwo na tonie, na obejściu się jakiemś, na znajomości jakiejtakiej literatury i sztuk; c h o r y nasz niepojmuje w panach nic, tylko szafunek dostatków wielki. To też, gdy półpanek często miewa smak, potrafi dom urządzić, kuchnię i piwnicę; c h o r e m u zdaje się, że gdy tylko drogo zapłacił za co, wszystkiego co mógł i do czego był obowiązany, dopełnił. Uważcie więc różnicę dwóch bliskich siebie typów. Półpanek ma pewne ukształcenie przy wielkiej dozie próżności i głupstwa; c h o r y n a p a n a, jest najpowszechniej tęgo i zupełnie głupiuteńki. U niegoto ujrzysz owe liberie zielone z żółtem, owe uprzęże od złoconych bronzów, owe powozy upstrzone trzęsidełkami, w pokojach gratów bez liku, jak w sklepie, bez smaku, bez sensu porozrzucanych. Na stole nastawi ci śrebr różnej daty i kształtów, spoi cię winami, których nazwać nieumiejąc, będzie ci tylko cenę ich wychwalał: Wypijem jeszcze tego dukata! Na honor dukat kosztuje! Z resztą nadęcie chorego jest równie wielkie, jak półpanka, z tą różnicą, że z panami c h o r y n a p a n a nigdy niejest tak przesadnie poufały; napawa się tylko widocznie pychą obcowania z nimi, wyjaśnia mu się oblicze, błyskają oczy, zaciera ręce. Wybiegłszy z pałacu, spieszy przed wszystkimi pochwalić się: rozprawiał z xięciem, jadł objad z panem hrabią i t. p.

Choroba p a ń s t w a napada niekiedy młodych, częściej średniego wieku ludzi, lecz są przykłady, że się daje rozsądną kuracią uleczyć. Niejednego przyjaciel naprowadził na drogę rozsądku. Zapomniałem namienić, że gdy półpanek najserdeczniej poluje na tytuł przynajmniej hrabiego *in partibus*, sześć herbów koligacijnych wycina na pieczątce, i sługom swoim każe się tytułować jaśnie wielmożnym grafem; chory na pana po większej części nie śmie się nato odważyć. C h o r o b a państwa objawia się zwykle najprzód niejakąś zazdrością na widok ludzi bogatych, którzy oczy tłumu porywają; zazdrość ta przeradza się w rodzaj udręczającego niepokoju. Chory chodzi, myśli, gryzie paznogcie, targa włosy, liczy się ze swoim majątkiem. Sumienie mu powiada, że niejest panem; on sobie mówi, że mógłby nim być. Po długiej walce z samym sobą, chory zaczyna od jakiego wielkiego głupstwa: płaci za karetę kilka set dukatów, kupuje cug kosztowny. Gdy raz począł, nieumie, niechce się powściągnąć, tłomaczy się przed sobą, że mając konie, potrzeba mieć liberję, z liberją powozem i końmi, trzeba domu stosownie utrzymanego na pewnej jakiejś odpowiedniej stopie. Jeśli chory znajdzie opozycię w domu od przeciwnej żony, która nieumiejąc inaczej dać sobie rady, wprost mu się sprzeciwiać będzie, najczęściej rozjątrzy się gorzej jeszcze i więcej głupstw popełni. Po niejakim czasie ta zapalna w początkach słabość, odchodzić pocznie, albo, co gorzej, w chroniczną się zmieni. Naówczas biada rodzinie, której fundusz pochłonie, biada często poczciwości, która upada pod gruzami walącej się fortunki. Ciężkie interesa najpoczciwszego czasem, czynią w końcu złym, gdy w nim jeszcze do końca dotrwa ta choroba państwa. Doskonałeto ludu naszego proste przysłowie, że d ł u g k r ę c i, a g ł ó d k r a d n i e, okoliczności bardzo zmieniają ludzi. To też każdy powinien pilnie uważać na siebie, aby się niewystawiać na próby, których może nie wytrzyma i niewyjdzie z nich zwycięsko.

C h o r z y na panów, najczęściej kończą w prędce smutną ruiną. A jednak, gdy sto takich przykładów świeci w oczy, dwiestu w ich obliczu idzie tąż samą drogą, ufając niewiem w co? raczej nie myśląc, co będzie, niezastanawiając się nad niczem. Ze wszystkich prowincii dawnej Polski, w Galicii i na Wołyniu ta choroba podobno najpowszechniejsza i zdaje się być w powietrzu. Każdy żyje wystawniej, niżby powinien, walcząc ze swoimi sąsiady o palmę nierozsądku, każdy choć odrobinę nad sferę sobie pozwala. Ztąd, gdy bardzo niewielu robi majątki, mnóstwo je traci, takich nawet, którzy je wprzód zrobili; dorobiwszy się, zachorowali na panów i skończyli na starość ruiną.

Przejdźmy teraz do trzeciego typu naszej kategorii, do c z e p i a j ą c y c h s i ę p a n ó w. Ci różnią się wielce od poprzedzających: młodzito po większej części ludzie, nie lubiący zatrudnienia, a smakujący w życiu wygodnem. Wyrzekają się oni domów, widoków przyszłości, przyjmują na swoje nieszczęście wszystkie gusta wielkich panów, odwykają zupełnie od pracy, jako słudzy ich, trochę wyższej kondycii. C z e p i ą c y się pana, nieudaje pana, jak poprzedzający, ale ma sobie za szczególną chlubę, zwać się przyjacielem xiążąt, hrabiów, lubi popisywać się z częstem u nich pobytem, z poufałością stosunków, przed profanami opowiada zawsze szeroko, jak jest d o b r z e z tym lub owym, jak surowo do nich przemawia, zmyśla odpowiedzi śmiałe na swój rachunek, których nigdy jednak niedopuścił się w istocie, i gdyby je był wyrzekł, dostałby kolanem i poszedł pewnie za drzwi.

Nasz panicz mówi gorzej lub lepiej po francusku (najczęściej bardzo źle) ubiera się starannie i modnie, sypia długo, wymyśla z jedzeniem, pra-

wi o truflach i pasztetach, nudzi się z profesii, gdy jest w towarzystwie szlachty (którą jednak zupełnie nie wzgardza) i jest najpowszechniej goły. To łatwo wytłomaczyć: z małemi resursami, bez pracy, wciągniony w życie wymagające kosztów ubrania, ekwipażu i t. p., prędko nasz panicz wycieńczy sakiewkę. Nieznać tego jednak po nim na pierwszy rzut oka, niedostatek zamaskowany jest wybornie, w poufalszem dopiero obcowaniu objawia się częstemi listy, proszącemi o pożyczenie pieniędzy, pod różnemi pretekstami, extranadzwyczajnego i nieprzewidzianego niedostatku chwilowego. Czepiający się panów, jak są od nich uważani? Czem okupują swoje przyjęcie w ich domu? To łatwo wytłomaczyć. Panowie radzi są czasem pożartować z kogoś, mieć przy sobie istotę bez konsekwencii, wygodną, jak skórzana poduszka, która zda się na krzesło i pod głowę; istotę, która za nich pójdzie, pojedzie, wykłóci się, napisze (jeśli potrafi), znosi im plotki z całego świata, milczy, gdy milczą, śmieje się, gdy się śmieją, pije gdy piją, i gra gdy grają. Oni zaś raz poświęciwszy się na życie pasożytów, umieją stać się potrzebnymi w domu, zupełnie tak, jak niejeden sprzęt w pokoju, na którem właściciel prawie ziezważa, a jednak przykroby mu się zrobiło, gdyby go wyniesiono i postrzegłby ten brak zaraz. Towarzysze ciągli żywota pańskiego, nasi młodzi panowie, nie mają swego życia, swej woli, swych smaków osobistych, właściwych, we wszystkiem odbijają swoich jaśnie oświeconych przyjaciół (tak ich zowią). W tego rodzaju zwierciadłach można spokojnie obserwować niejedno pańskie oblicze, tak, jak przez zakopcone szkło obserwuje się zaćmienie słońca. Człowiek tej klasy metysów, rzadko się żeni i rozpładza; trafiają się jednak przypadki, że jaśnie oświecony, lub jaśnie wielmożny zapotrzebuje nagle wydać kogo zamąż, zaproponuje posag, a nasz łysiejący młodzik obejrzawszy się dokoła, pomiarkowawszy, że stracił co miał, na pańskich usługach, zgodzi się na starość ogryzać łupinki. To mu zapewnia z jaśnieoświeconym lub jaśniewielmożnym jeszcze trwalsze stosunki. Pełen filozofii zdrowej, wie naówczas, kiedy jego przytomność jest zbyteczną, wychodzi w porę, wraca poźno, wygodny, potulny, zyskuje na tem najczęściej jeszcze dożywocie, albo nawet małą wioseczkę z długiem bankowym, wsi czystym darem!!! Inni z tych paniczów przeżywszy młodość w próżniactwie, pozbawieni podpór jakimkolwiek wypadkiem, wpadają znowu w swoją pierwszą sferę. Naówczas sąto prawdziwie nieszczęśliwi ludzie. Bardzo wielu kończy życie wyszafowane prędko, bez nieczyjego żalu, bo je stracili, niestarając się o szacunek u ludzi. *O. N.*

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI DRUKIEM PIOTRA PILLERA.